

Dr. T. Gluziński

Pędziszem na południe

XV

Dzisiaj zamierzamy przebyć najwyższą drogę w Europie. Zaczynamy z Meranu z wysokości 320 m. nad poziom morza. Jedziemy ku zachodowi w górę Adygi przez dolinę Venosta. To warzyszą nam góry coraz bardziej potężne i stopniowo dzwigamy się wzwyż.

Po pięćdziesięciu kilometrach drogi, pnącej się stromo, osiągamy miasteczko Spondigna. Autem

chem. Droga przez przełęcz Lautaret z Grenoble do Turynu była nieczym w zestawieniu z takim szlakiem.

Ruszamy dalej, bezustannie niezwykle stromo i co chwila zakręcając nad przepaściami. Już po kwadransie trzeba zatrzymać wóz, bo stała jazda na pierwszym biegu sprawia, że woda się gotuje w chłodnicy. Zatrzymujemy i studzimy, podziwiając białe pola

Ortlera wyłoniły się czarne chmury. Kłębią się coraz głośniejsze, przesłaniając olodzone granie lodowców.

Z góry, z widocznej już stąd przełęczy zjeżdża auto. Powolnym, ostrożnym ruchem zsuwa się z serpentyny na serpentynie. Zakosy tu krótkie, ledwie kilkadziesiąt metrów liczące i droga skręca pod ostrym kątem.

Auto już blisko. Władek wydaje okrzyk: „To Polacy!”

Jadący z góry zatrzymują się przy nas. Także zaskoczyła ich obecność polskiego samochodu na tej podniebnej drodze. W pięknej limuzynie, dwóch panów i dwie panie. Polacy ze Śląska. Pytają o drogę w dół i stwierdzają, że z południowej strony jedzie się daleko łatwiej. Ostrzegają nas, byśmy nie tracili czasu, bo burza wisi w powietrzu.

Widzimy ich długo jeszcze, jak w żółwym tempie przebiegają zakręty. Już wystygł nasz motor, więc ruszamy wzwyż. Głębokość rośnie pod nami. Teraz wzdłuż drogi po obu stronach dwumetrowy mur ze śniegu, Władek fotografuje swe auto w tym zimowym otoczeniu. Jeszcze parę zakrętów i dobijamy do przełęczy.

Na przełęczy hotel - schronisko, a na nim napis: Albergello Stelvio 2760 m. Jesteśmy o sto metrów powyżej tatrzańskich Gierlachów! Z czarnych chmur puszcza się deszcz ulewny. Co prędzej zamykamy samochód i pędzimy do schroniska.

Trzęsiemy się z zimna. Czyż weźmie nam kto za złe, że przeniesiemy w dwa dni z letnich upałów

Tutaj przedwojenna granica Tyrolu, dawniejsza granica austriacko - włoska. W skałach i lodowcach Ortlera przez trzy lata trwały pozycyjne walki. Podkopy wano się nawzajem pod siebie i minami wysadzano w powietrze. Latem i zimą żołnierze kopali się w lodzie i śniegu, by ująć przed okiem nieprzyjaciela.

W schronisku goszczą narciarze. Tak jest! W lecie we Włoszech narciarze! Przyjechali tu specjalnie dla zjazdów w ekwipunku zimowym, jak u nas w maju na Kasprowy. Ale tutaj przybywają amatorzy zimy w czerwcu, lipcu i sierpniu!

Jesteśmy po koniak i winie, trochę w dobrych humorach. Ulewa minęła i zabłysło słońce. Proponuję bez zastanowienia wyjść na pobliski wierzchołek, zwany szczytem Garibaldiego przez który dziś przechodzi granica włosko - szwajcarska. Towarzysze ochoczo aprobują mój projekt.

Wychodzimy na dwór. Owiał nas mroźny wiatr. Jeszcze po okolicznych szczytach wałęsają się mgły, ale nad nami lazur włoskiego nieba. Pod górę wiedzie wygodna, choć stroma i piarzysta ścieżka. Posuwamy się raźnie, otuleni w palta.

Na szczycie siedzi dwóch strażników szwajcarskich. Nie przeszkadzają nam i nie pytają o paszporty. Przyzwyczajeni do wybieczkowiczów ze schroniska, wracających z powrotem.

Widok ze szczytu niesłychanie groźny. Widzimy po drugiej stronie przełęczy olodzoną grupę Adamello, dorównującą niemal



W śniegu.

roid wskazuje około 900 metrów, czyli wysokość górnego Zakopanego. Na drodze nie spotykamy samochodów, jest to bowiem trasa niemal wyłącznie turystyczna.

Od Spondigna zaczyna się słynna alpejska droga na Passo del Stelvio (po niemiecku Stilsfer Joch), poprowadzona niesłychanie śmiało na wysoką przełęcz alpejską. Jest ona w rzeczywistości najwyższą drogą w całej Europie.

Zaraz za Spondigna zatrzymuje nas milicja faszystowska, uzbrojona w karabiny. Na widok naszych polskich paszportów następuje serdeczne pozdrowienie faszystowskie. Wyjaśniają nam, że w pobliżu jest granica szwajcarska, stąd więc zwiększona kontrola przejeżdżających.

Po chwili jedziemy dalej, żegnani znowu tym samym ukłonem. Mocno pracujący motor wyciągnął nas już do Trafoi, wysoko położonej miejscowości tuż naprzeciw olbrzymich lodowców. Jesteśmy na wysokości 1560 m., o kilkadziesiąt metrów wyżej, niż Hala Gąsienicowa w Tatrach. Zaglądamy wprost w przepaści, olodzone stoki Ortlera, najwyższego szczytu wschodnich Alp. Zatrzymujemy się w przydrożnej kawiarence na odpocznik i rozkoszujemy wysokogórnym widokiem. Przełęczy Stelvio celu naszej drogi, stąd nie widać. Ale już najbliższe zakręty wyglądają tak groźnie, że Władek wzrusza ramionami z uśmie-

chem. Droga przez przełęcz Lautaret z Grenoble do Turynu była nieczym w zestawieniu z takim szlakiem.

Ruszamy dalej, bezustannie niezwykle stromo i co chwila zakręcając nad przepaściami. Już po kwadransie trzeba zatrzymać wóz, bo stała jazda na pierwszym biegu sprawia, że woda się gotuje w chłodnicy. Zatrzymujemy i studzimy, podziwiając białe pola

Ortlera wyłoniły się czarne chmury. Kłębią się coraz głośniejsze, przesłaniając olodzone granie lodowców.

Z góry, z widocznej już stąd przełęczy zjeżdża auto. Powolnym, ostrożnym ruchem zsuwa się z serpentyny na serpentynie. Zakosy tu krótkie, ledwie kilkadziesiąt metrów liczące i droga skręca pod ostrym kątem.

Auto już blisko. Władek wydaje okrzyk: „To Polacy!”

Jadący z góry zatrzymują się przy nas. Także zaskoczyła ich obecność polskiego samochodu na tej podniebnej drodze. W pięknej limuzynie, dwóch panów i dwie panie. Polacy ze Śląska. Pytają o drogę w dół i stwierdzają, że z południowej strony jedzie się daleko łatwiej. Ostrzegają nas, byśmy nie tracili czasu, bo burza wisi w powietrzu.

Widzimy ich długo jeszcze, jak w żółwym tempie przebiegają zakręty. Już wystygł nasz motor, więc ruszamy wzwyż. Głębokość rośnie pod nami. Teraz wzdłuż drogi po obu stronach dwumetrowy mur ze śniegu, Władek fotografuje swe auto w tym zimowym otoczeniu. Jeszcze parę zakrętów i dobijamy do przełęczy.

Na przełęczy hotel - schronisko, a na nim napis: Albergello Stelvio 2760 m. Jesteśmy o sto metrów powyżej tatrzańskich Gierlachów! Z czarnych chmur puszcza się deszcz ulewny. Co prędzej zamykamy samochód i pędzimy do schroniska.

Trzęsiemy się z zimna. Czyż weźmie nam kto za złe, że przeniesiemy w dwa dni z letnich upałów

Tutaj przedwojenna granica Tyrolu, dawniejsza granica austriacko - włoska. W skałach i lodowcach Ortlera przez trzy lata trwały pozycyjne walki. Podkopy wano się nawzajem pod siebie i minami wysadzano w powietrze. Latem i zimą żołnierze kopali się w lodzie i śniegu, by ująć przed okiem nieprzyjaciela.

W schronisku goszczą narciarze. Tak jest! W lecie we Włoszech narciarze! Przyjechali tu specjalnie dla zjazdów w ekwipunku zimowym, jak u nas w maju na Kasprowy. Ale tutaj przybywają amatorzy zimy w czerwcu, lipcu i sierpniu!

Jesteśmy po koniak i winie, trochę w dobrych humorach. Ulewa minęła i zabłysło słońce. Proponuję bez zastanowienia wyjść na pobliski wierzchołek, zwany szczytem Garibaldiego przez który dziś przechodzi granica włosko - szwajcarska. Towarzysze ochoczo aprobują mój projekt.

Wychodzimy na dwór. Owiał nas mroźny wiatr. Jeszcze po okolicznych szczytach wałęsają się mgły, ale nad nami lazur włoskiego nieba. Pod górę wiedzie wygodna, choć stroma i piarzysta ścieżka. Posuwamy się raźnie, otuleni w palta.

Na szczycie siedzi dwóch strażników szwajcarskich. Nie przeszkadzają nam i nie pytają o paszporty. Przyzwyczajeni do wybieczkowiczów ze schroniska, wracających z powrotem.

Widok ze szczytu niesłychanie groźny. Widzimy po drugiej stronie przełęczy olodzoną grupę Adamello, dorównującą niemal



Schronisko na przełęczy Stelvio.

włoskich w krainie surowej zimy, od razu pomyśleliśmy o koniak?

Leje gwałtownie, a huraganowy wicher wstrząsa posadami schroniska. Wyżej, na zboczach Ortlera napewno zamieć śnieżna. Ostre powietrze wyostrzyło nasze apetyty, to też z zapalem zmiatały lunch. Nie obyło się bez tyrolskiego wina.

wysokością i masą Ortlerowi. Wyciągam aneroid i stwierdzam, że osiągnęliśmy wysokość 2910 m. W Meranie było 320, a więc w ciągu kilku godzin pokonaliśmy wzniesienie około 2600 metrów!

Władek trzyma się oburącz za głowę, a Władek oddycha szybko (Dokończenie obok).

Dzieje swastyki emblemu hitlerowskich Niemiec

Jednym z aktualnych tematów prac badawczych niemieckich historyków kultury i archeologów jest sprawa pochodzenia znaku swastyki, godła państwowego dzisiejszej Rzeszy. Prace te idą w kierunku potwierdzenia tezy, że swastyka była godłem czczonym przez wiele narodów w różnych krajach, nigdy jednak nie była częścią składową symboliki narodów semickich. W tym też duchu wygłosił niedawno odczyt profesor uniwersytetu berlińskiego dr. Eckhard Unger, zdając sprawę ze swych najnowszych studiów.

Tymczasem wielką sensację wywołała wiadomość, że w Palestynie, w biblijnym mieście Kapernaum, wśród wykopalisk znaleziono swastykę, wyrzytą na kamieniu. Dalsze badania jednak uspokoiły uczonych niemieckich: kamień ze swastyką, wzorowany na typowych fryzach helleńskich był dziełem budowniczych rzymsko-greckich, sprowadzonych do Kapernaum dla wzniesienia pałacu miejscowego zarządcy, a więc rzymskiego budynku administracyjnego. Jedną z ozdób tego budynku był właśnie kwestionowany kamień.

Pomysłowy kombinator wyplatał figla znajomemu

Bez grosza przy duszy znalazł się mieszkaniec Dubna, Mikołaj Zyniewicz, w Chelmie Lubelskim. Namyslił się z tym, jakby powrócić do domu.

Przypadkiem spotkał na ulicy dawnego znajomego, Pawła Rodowicza z Równego, o którym wiedział, że pojechał do Argentyny. Ukłonił się przed nim, powiadomił Rodowicza, że w urzędzie pocztowym w Równem znajduje się przekaz od brata jego z Argentyny na 1800 zł, i że celem podjęcia tej sumy musi sam pojechać do Równego i mieć z sobą dowód osobisty lub świadka, któryby poświadczyl jego tożsamość. Z wielkiej uciechy, wobec tak nieoczekiwanej otrzymanej sumy, wyprawił Rodowicz małą ucztę, silnie zakrapianą alkoholem, poprosił Zyniewicza na świadka do Równego i ofiarował mu nawet 50 zł. za tak radosną nowinę.

Po uczcie, obydwaj udali się do

Równego. W odpowiednim momencie, Zyniewicz znikł Rodowiczowi z przed oczu jak kamfora, a ten ostatni ku swemu zmartwieniu, przekonał się, że żadne pieniądze z Argentyny dla niego nie nadeszły.

Sprytny Zyniewicz, udał się za jego peniądze do domu w Dubnie, gdzie go jednak powitała policja, powiadomiona o jego „kawale” zrobionym Rodowiczowi. (k).

Znów zakwitły akacje i jarzębiny

Z Telechan na Polesiu donoszą nam, że zakwitły tam ponownie akacje i jarzębiny.

BERLIN-KOLONIA

PARYŻ RIVIERA

zł. 490.-

4-23.1X

MAZOWIECKA 9

FRANCOPOL

Tel. 206-73 i 258-20

ko. Poczynamy schodzić. I nagle czuję, że jestem dziwnie zmęczony i serce, choć schodzimy w dół, poczyniło mi wadło w pierśsiach, jak młotem. Orientuję się, że coś nie w porządku i — nie mówiąc towarzyszom — sygnuję co rychlej w dół.

Odrzuć siedliśmy do auta i wygodnymi sepietynami zjeżdżamy. Władek śmiało jedzie pięćdziesiątkę, a potem sześćdziesiątkę. Hamulce pracują.

Dopiero już znacznie niżej — przyznaliśmy się do naszych odczuć. Władek już na szczycie doznał szumu w uszach i bólu głowy, a Władek miał bicie serca i stracił niemal świat. Z przyczyny zdajemy sobie od razu sprawę. To nie tylko wysokość i rozrzedzone powietrze, ale przede wszystkim zdradziecki koniak i wino, użyte przed wysiłkiem fizycznym na tej wysokości.

Przepiękną alpejską drogą bezustannie zniżamy się w dolinę rzeki Braulio i wreszcie po kilkudziesięciu kilometrach zjazdu dostajemy się do miasteczka klimatycznego Bormio, położonego u stóp gór na poziomie 1225 m.

I tutaj nagle w krętych i spadzistych uliczkach zdradziły nas naraz wszystkie hamulce i jakby w znowie przestały działać. Z najwyższą ostrożnością dobijamy do hotelu.

Na szczęcie przy pomocy zawazanego mechanika Władek stwierdził, że działają znowu dobrze. Prosto rozwarzili się na tak długim zjeździe niemal do czerwoności i aparat, hamujący powietrzem, przestał pełnić służbę. Gdy ostrygi, ożyły. Dobrze, że rozniewały się dopiero na dole!

W Bormio miły chłód wieczorny. Ani gorąco, ani zimno.

B. HOFMANN

25)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przemaszowane na licytacji, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

— Nie tylko z tego powodu — odparł Weninga. — Zresztą mynheer de Katt twierdzi, że rękawiczka mu zginęła, albo ją zgubił na parowcu „Friesland”.

— Naiwny wykręcił... — mruknął Orda. — Niech spróbuje to udowodnić. Ten gagatek od razu mi się wydał podejrzanym w najwyższym stopniu.

— Mówi, że na tę okoliczność ma świadka, stewarda Hendrika z parowca „Friesland”. Wezwałem go do przesłuchania.

Malinowska spojrzała kolejno na obu mężczyzn.

— Wiecie, panowie, że w tym wszystkim jedna rzecz jest naprawdę zastanawiająca! Pan, panie komisarzu, a jeszcze więcej mój kuzyn, starają się mnie odgrodzić za wszelką cenę od pana de Katta. Z drugiej strony de Katt mnie ostrzega przed pewnym Afgańczykiem, który się nazywa Akruha. Teraz już nie a nie nie rozumiem, więc proszę mi poradzić, co mam robić właściwie?

— Czy w trakcie rozmowy pan de Katt wymienił kiedykolwiek nazwisko Mac Stanton? — zapytał niespodziewa-

nie Weninga, patrząc przenikliwie na pannę Malinowską.

Wytrzymała spokojnie jego wzrok, lecz nie odpowiedziała, jednak to tylko utwierdziło komisarza w przeświadczeniu, że tak było w istocie.

— Więc punkt, dotyczący Mac Stanton, pani pomija milczeniem? Dobrze. Tak też myślałem. A pani wie, że Stanton jest ciężko ranny i że według wszelkiego prawdopodobieństwa to był zamach?

Panna Malinowska drgnęła, lecz opanowała się prędko.

— Wiem. Kuzyn go poznał na fotografii z obwieszczenia policyjnego i mówił mi, że wobec tego musi się udać na policję.

— Pan porucznik postąpił zupełnie słusznie! — podchwycił Weninga. — Teraz niech pani będzie łaskawa zastanowić się, czym jest w gruncie rzeczy uchylenie się od zeznań w takiej sprawie. Prawo zwalnia od tego obowiązku jedynie...

— Ależ na miłość Boską, panie komisarzu! — przerwała panna Malinowska. — Nie znam żadnych szczegółów tej zbrodni Zresztą sama ukończyłam prawo i wiem dobrze, jak należy postępować w takich wypadkach.

Orda wstał i zbliżył się do kuzynki.

— Hala... przepraszam cię, ale nie zebrał się na pogawędkę towarzyską. Pan Weninga występuje w charakterze komisarza policji, prowadzącego śledztwo i uważam, że powinnaś powiedzieć wszystko, co może się przyczynić w jakimkolwiek stopniu do wyjaśnienia sprawy. Powtórz, co ci mówił de Katt!

— Ależ zrozumi, Henryku, że ten szczegół nie ma nic wspólnego z zamachem na Stanton! — broniła się dziewczyna. — Oprócz tego przyrzekałam...

— Proszę pani! — wtrącił stanowczo Weninga. — Pozwalam sobie jeszcze raz zwrócić uwagę, że w tych okolicznościach wszystkie przyrzeczenia tracą swoją moc.

Panna Malinowska zawahała się, wreszcie zaczęła:

— Pan de Katt mi mówił, że Stanton z Anglii napisał list do mojego wuja, kapitana Kragga, ale nie otrzymał odpo-

wiedzi. Prosił, abym sprawdziła, czy ten list nadszedł za życia wuja i abym zawiadomiła de Katta, jeśli znajdę ten list. Prosił także o utrzymanie tego w tajemnicy i twierdził, że tylko on może decydować w tej sprawie. Tylko on, nikt inny.

Weninga odchylił się na oparcie fotelu i gwizdnął cicho przez zęby.

— Taka historia!... Czy de Katt pokazał pani upoważnienie od Stanton?

— Nie, ale nadmienię, że działała za jego zgodą i że potrafi to udowodnić...

— Dobrze! — uciął komisarz i wstał. — Dziękuję bardzo i przepraszam, że pani zajmam tyle czasu. Pytała pani, co teraz należy robić. Niech pani poszuka listu Stanton'a i zawiadomi de Katta, jeśli list się znajdzie. Ja też muszę to wiedzieć i nieco wcześniej. Proszę panią o tym, że ja muszę wiedzieć wcześniej — powtórzył dobitnie. — To jest niezwykle ważny warunek. Kazałbym opieczętować wszystko w Amstelkroog, ale mam do pani zaufanie i wierzę, że się nie zawiodę. Na Stanton'a nie liczę: rzadko odzykuje przytomność i jest w takim ciężkim stanie, że długo nie będę mógł go przesłuchiwać. Więc wierzę pani bez zastrzeżeń.

Panna Malinowska również wstała.

— Niech pan będzie pewny, panie komisarzu, że nie przyłożę się do żadnej podejrzananej sprawy — oświadczyła poważnie.

Dziękuję pani — skłonił się Weninga. — Prawdopodobnie pani wyjedzie wkrótce do Amstelkroog.

Zamiast niej odpowiedział Orda:

— Jutro, panie komisarzu. Chcę odwiedzić kuzynkę i pomóc jej na nowym miejscu, a urlop mam krótki.

Weninga skinął głową.

— Doskonale. Uważam, że w tej sytuacji pani więcej niż kiedykolwiek potrzebuje męskiej opieki.

— Ależ ja się nie boję — uśmiechnęła się panna Malinowska. — Co mi się może stać?...

(D. c. n.)